Nro 24.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 16 listopada 1844. **Rok piąty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 2 listopada 1844.

Stroje damskie. Ukazało się mnóstwo futer i płaszczów które bez wątpienia zasługują na uwagę tak z powodu ładnego kroju jak i gustownego onych przystrajania; lecz dla dam które chcą aby ich strój był więcej odznaczający się, jest ubranie wyłączne, bardzo wygodne, wydatną czyniące kibić, zdaje się nawet iż jej dodaje wdzięku; suknią tą jest damski paletot; nie z rodzaju takowych jakie się zeszłego roku ukazały, lecz paletot grecki, odpowiedni sukni na którą ma się wdziewać, z tej samej co sukna materii, a który przez to samo staje się ubraniem niezwykłem i bardzo eleganckiem. Co się tycze stroju stanika, paletot ten podobny jest bardzo do paletotów męskich, z tą tylko różnicą iż jest bardzo przystający w pleckach i staniku, co go robi podobnym do sukni wysoko zachodzącej; zresztą poły i plecki są jednostajne; rękawy bardzo szerokie, szczególniej u dołu, z szerokim wykładem, wyszyte sznurkiem jedwabnym; spodnica bardzo szeroka, nie długa, z każdej strony troche rozcięta u dołu i wyszyta sznurkami.

Jednym z nowych utworów, które się bardzo podobają, są suknie piramidalne, tak nazwane, ponieważ w miejscu falban i innych garnirowań, są przystrojone mnóstwem kółek axamitnych, stopniowanej wielkości, układanych w kształcie piramidalnym, a to od spodu sukni aż do pasa.

Z kapeluszów najmodniejsze: axamitne koloru zielono-oliwkowego, atłasem ubierane, z gałązką kwiatu jabłoniowego i jagód bzowych. Także kapelusz z mory, koloru słomianego ubrany fontaziami ze wstążek i czarną korunką; oraz kapelusz biały atłasowy z gałązką wierzby płaczącej.

Felpa jest zawsze używaną na kapelusze dla młodych osób, ubierane wstążkami atłasowemi lub drobnemi piórkami.

Czepeczków kształty różnią się bardzo; jedne bywają ubrane równianką cykoriową; drugie wstążkami; piękne grzebienie żółwiowe stosują się do rodzaju i kształtu czepeczków które są zwykle bardzo małe.

Korunki axamitne są coraz więcej używane, i coraz piękniejsze wychodzą z różnych fabryk; ubierają niemi suknie, kapelusze, jednem słowem do wszystkiego zastosować się dadzą.

Stroje męskie. Stroje jesienne już widać po wszystkich miejscach; składają się one z paletotów dość obcisłych, z długich surdutów i płaszczów, które są najczęściej zapinane na obydwie strony, a mają klapy mniej lub więcej kończaste; kieszonki służą poniekąd za rodzaj ozdoby.

Twina stanowi rodzaj przepysznego stroju i w wyższych towarzystwach ma wziętość powszechną; płaszcze idą w kąt przy nich, jednakże skoro nastaną większe zimna, spodziewamy się ich obaczyć w najrozmaitszych formach, bo w tej sukni najwięcej na wygodę się uważa.

Rycina przedstawia: suknię gazową po grodenaplowej, w przodzie wstążkami podpiętą; stanik i rękawy drapowane. Druga suknia jedwabna, powierzchu płaszcz z podwójnemi rękawami, krepinami obszyty, kapotka jedwabna kwiatami ubrana. Trzeci szlafroczek wełniany u góry zamknięty, po wierzchu salopka korunkami obszyta, kapotka jedwabna. Czwarty płaszcz którego rysunek w numerze dwudziestym trzecim dziennika był dołączony. Piąty surdut u którego wyłożenie klapów i kołnierza, jest z materii jedwabnej.

———

Pieśń za murem.

Wyjątek z niedrukowanego poematu.

Niby na wieczność ludzie budują
Gmachy z pajęczyn, niemi kierują
Przesądy, kruszec i moda.
Dla nich się biedzą jakby nie marli,
Dla nich mi szczęście i ją wydarli
Och! szkoda, szkoda!

I jako mogła wyposażyła
I jako mogła mnie wypieściła
Najlepsza z matek, przyroda;
A druga bliższa, wszystko mi wzięła
I koło smutku na mnie zaklęła
Och! szkoda, szkoda!

Gdyby nie ona! spokojna wioska,
Gdzieś za górami światowa troska,
A wkoło własna zagroda.
Życiebym zleciał z nią przy mym boku,
Jak cichy anioł w jasnym obłoku.
Och! szkoda, szkoda!

O! i z tym ludem mnieby wiązała
Praca, co przyszłość świetniejszą zdziała,
Miłość braterska i zgoda.
Z nimbym się mojem szczęściem podzielił
I w jego bole jabym się wcielił,
Och! szkoda, szkoda!

Wonieje łąka, cichnie wieczorze,
Słońce się pasmem kładzie w jeziorze,
Gwarliwa powraca trzoda;
Mybyśmy razem patrząc na słońce,
Do Boga słali pacierze gońce.
Och! szkoda, szkoda!

Cicha noc, cicha, tylko szeleści
Gwiazda co spada niosąc nam wieści
I szumi w młynówce woda,
I tylko słowik żalem zawodzi
Że jeszcze xiężyc z chmur nie wychodzi,
O! szkoda, szkoda!

To w noc jesienną: świeci kominek,
Po moich piersiach pląsa mój synek,
A ona piękna i młoda,
Całuje usta, nadstawia uszka,
Co tam szepleni nasz swiegotuszka?
Och! szkoda, szkoda!

Noc taka czarna, nie świeci gwiazda,
Że ptak nie trafia nawet do gniazda,
A u nas wieczna pogoda.
O! bo my sercem słońca tak blisko,
Gdy przeczuwamy noc nad kołyską.
Och! szkoda, szkoda!

O! dosyć, dosyć!.. nie marz tak serce,
Twoje sny bolą, dziś w poniewierce,
Błagaj niech jaka przygoda
Rozbije ciebie o brzeg daleki,
Żebyś bez drgania zcichło na wieki.
Och! szkoda, szkoda!...

Dzisiaj bez celu, bez snu i marzeń,
Dzisiaj bez czucia, bez łez i wrażeń
Leżę na drodze jak kłoda.
Czekam, aż kto mię w przepaść potrąci
I ledwie wierzchnie wody zamąci.
Och! szkoda, szkoda!

A ona biedna! krwawą mą głową
Przerwie wam kiedyś chwilę godową,
Jak owa córka Heroda.
Przeklnie was ludzie, potem pobladnie,
Trupem przy waszych nogach upadnie...
Och! szkoda, szkoda!

Kornel Ujejski.

BOGACI I UBODZY.

OBRAZEK.

Pomieszkania bogaczy, dzisiejszemi czasy, są strojne, świetne, błyszczące.

Moda je ubiera, gust przystraja.

Wstępując do salonu widzisz się być w świątyni poświęconej dwom bożkom: próżności i wygodzie, i na wstępie samym musisz złożyć ofiarę admiracii.

Czy w tych świetnych i strojnych ścianach mieszka większa wesołość od tej, która w skromnych przebywała dworkach? a w tych zwierciadłach porozwieszanych odbijają się twarze szczęścia?

Obaczmy.

Wprowadzam czytelnika do wiejskiego pałacyku państwa O*, do salonu bogatego w złote obicia, w palisandrowe meble, serwantki, zwierciadła, obrazy itd. W salonie zastajemy panią O*; ma postać smutną; zamyślenie i niesmak, niecierpliwość i troska gdyby czarnym wieńcem opasały białe czoło tej młodej, dostojnej i zamożnej pani. Przez długą chwilę stała w oknie, które wychodziło na ogród błyszczący kwiatem georginij i bukietami klombów, z którego także był widok na drogę; zbliżyła się teraz do stolika, zadzwoniła.

Na brzęk dzwónka z dwoch stron, dwoch służących wbiegło do salonu.

»Posłaniec czy niebył tu jaki dzisiaj?«

»Niewidziałem żadnego« odparł starszy; młodszy się oddalał.

»Niepojęta rzecz; która teraz godzina?«

»Dziewiąta dochodzi, herbatę zaraz daję.«

»Dajże mi pokój z swoją herbatą, gdzie jest pan?«

»Wyjechał na koniu podobno do lasu« (odrzekł lokaj).

»Zawsze do tego lasu, jakby niemiał na to ludzi którym płaci; posłać za panem.«

»Dobrze jaśnie pani.«

»Posłać na koniu i to zaraz, powiedzieć, że go potrzebuję, czekam na niego.«

»Pani siadła na kanapie, pod ciężką chmurą gniewu zfałdowało się jej czołko, myślała, dumała, tupotała nóżką o podłogę, zadzwoniła znowu, wszedł lokaj.

»Zawołaj panny.«

I panna służąca w czepeczku i z czarnym fartuszkiem na żółtej sukience, już stała przed panią, z zapytaniem na twarzy: »co pani rozkaże?«

»Co tam robisz?« zapytała pani.

»Już kończę garnirowanie sukni, najdalej za małe półkwandransa, będzie gotowa.«

»Weź się do haftów, to porzuć.«

»Czy niemam kończyć garnirowania tej sukni na obiad, do xiężnej? proszę pani?«

»Nienudźże mnie tą suknią« tupnęła pani O* swoją nóżką, która niebyła tak bardzo mała, a wtem tentent konia dał się słyszeć, na podworcu.

Pani zrywając się z kanapy już biegnąć miała naprzeciwko męża wracającego z lasu; we drzwiach stanęła i wróciła szybko do kanapy, na której miękiem wysłaniu oparła główkę, obróciła się tyłem od drzwi, męką niecierpliwości dręczona, a na pozór obojętną udając, czekała przybycia małżonka.

»*Bon jour ma chère*« przemówił wolnym krokiem zbliżający się pan O* »jak uważam pani moja była dzisiaj ranniejszą, czy jesteś już po herbacie? ja użyłem dzisiaj komocii, byłem nawet w jednym lesie; nieuwierzysz z jednej góry jaki widok, ale to poszukać (i wyciągnął rękę do rączki która się cofnęła).

»Ale wiesz co *ma chère* (kontynował pan O*) muszę ci zaproponować spacer konny, obaczysz tak dziką okolicę, żeby można się w niej zakochać.«

»Dajże mi już pokój z twojemi okolicami, jemu widoki w głowie; nie, to nie do wytrzymania, ja zachoruję, ze wstydu i zmartwienia.«

»Ależ *ma chère*.... niewiem co za przyczyna?«

»Jakto, on niewie, nie pamięta, że dzisiaj u xięstwa obiad, wszyscy będą, wszyscy zaproszeni, tak wszyscy, cała okolica i nas tylko wyłączono, jakbyśmy nie byli godni tego honoru znajdować się u xięstwa na obiedzie; i on niewie o tem, nic sobie z tego nie robi, a to nie do zniesienia.«

»Ależ *ma chère* myślałem żem cię wczoraj już przekonał, że to nic innego nie jest, tylko, że, albo jakieś nieporozumienie, albo co najprędzej z winy posłańca inwitacia nas nie doszła, niema wątpliwości, więc proszę cię wyperswaduj sobie, bo zresztą nie widzę w tem nic takiego.«

»Jakto ty niewidzisz nic, nic nie widzisz, to dobrze, ale ja ztąd wyjadę, tu mieszkać nie będę, nie będę bawić w tych stronach gdzie mię nikt nie poważa, nie szanuje, nie dbają o mnie, gdziem zapomniana, pogardzona, taka nieszczęśliwa!!!«

Pani O* z żalu, smutku i strapienia załamała ręce, rzewnemi zalała się łzami, słowem, była w rozpaczy; a o nią jakby o skałę rozbiła się wymowa męża; albowiem z obowiązku swojego pospieszył tu z perswazią i pociechą; była daremną.

Wtem wchodzący lokaj do salonu oznajmił o przybyciu jakiegoś posłańca i opieczętowany bilet podał pani O* na tacy. Promień radości ożywił zapłakane lice; serce pani O* mocno bić zaczęło, drżącą ręką pochwyciła bilet, spojrzała na kopertę, na niej stało: »*à Madame la Comtesse O**.«

»To do mnie (zawołała radośnie) ale dla czegoż tak poźno w sam dzień obiadu przychodzi inwitacia, to jest niegrzecznie, to jest uchybienie« i przy okazii...

»Nie mówiłem (przemówił pan O*) że to zaszło. jakieś małe nieporozumienie i nic innego, przecież naszą wizytę oddaliśmy jak należy, xięstwo nas rewizytowało, z tego zatem powodu a nim wątpił... idę tedy zaraz zadysponować cztery konie do karety i liberię....«

Kiedy to mówił pan O*, już bilet odczytany i wypuszczony z rączki pani leżał na dywanie co zaścielał posadzkę przed kanapą, a sama pani znajdowała się w pozycii omdlewającej osoby.

Ma chère co tobie? co się stało? niepojmuję, alboż to?....«

»Jestem słabą idę do łóżka, siadaj, odpisz za mnie, napisz żem słaba na głowę, na nogi, na co ci się podoba, niech tylko oni do mnie nie przyjeżdżają, nie, tegobym niezniosła, wolę chorować, cały rok leżeć będę w łóżku, nikogo nie przyjmę, nikogo, nikogo.«

Pan O* pragnący zaspokoić ciekawość swoję i poznać powód tak nagłej choroby żony, podniósł opuszczony bilet i odczytał. Bilet był taki:

Chère amie!

»Mając także inwitację do xięstwa na obiad, który dają dzisiaj dla całego obywatelstwa, ułożyliśmy się z sąsiedztwem naszem po drodze wstąpić do ciebie, i zaproponować ci ażebyśmy do Dyamentowa do xięstwa razem jechali, bo w kompanii milej jakoś. Ale i wpraszamy się do ciebie na noc, bo po obie-

dzie, który będzie zapewne poźno, nie zdążylibyśmy do domu, chyba o północy; przy herbatce u ciebie dopieroż się nagadamy o tym świetnym obiedzie, o strojach i tych, którzy na nim nie byli. *Adieu* do miłego zobaczenia się.

Toute à Vous Julia.

Pan O* zaspokoił swoją ciekawość a poznał powód nagłej słabości żony.

»*Eh bien, ma chère* (zapytał z zwyczajną sobie spokojnością umysłu) więc życzeniem jest twojem, ażebym ciebie zastąpił dzisiaj i przeprosił, bo... bo... jesteś słabą, czy tak? *ma chère?*«

»Pani O* na odpowiedź zerwała się z kanapy, szybkim i dosyć jeszcze zdrowym krokiem wyszła z salonu, za nią zamknęły się podwoje troche głośniej jak zwyczajnie.

Pan O* przeszedł się do kancelarii i zapaliwszy fajkę na długim cybuchu zasiadł do stolika.

Już na blado-różowej ćwiartce stały te słowa:

Wielmożna pani dobrodziejko!

....kiedy nie wołany przez pana wbiegł sługa, i oznajmił, że pani pana prosi do siebie. Odłożone zostało pióro; smaczna i dopiero zaczęta fajeczka, z której pan O* raz jeszcze na pożegnanie pociągnął, postawiona w kącie. Pan O* był już w budoarze żony.

»A czy też może być ażebym (od tych słówek zaczęła się rozmowa) ażebym nikogo niemiała, ale to nikogo, któregobym się poradzić mogła, którlyby przecie coś mądrego zrobił dla mnie.«

»Alež *ma chère,* właśnie co wziąłem się do pisania.«

»Obejdzie się bez tej twojej fatygi; namyślałam się inaczej.«

»Cożž tedy myślisz zrobić *ma chère?*«

»Przecież nie będę się tak dalece poniżać i kompromitować ażebym chorowała, a potem żeby gadali o mnie, że to z aprensii i zmartwienia że mnie nieproszono na obiad; odpraw posłańca, powiedzieć że nas niezastał, żeśmy wyjechali na dni kilka, niema nas w domu.«

»Albo *ma chère*...«

»Albo co...«

»Jabym był tej opinii...«

»Opinii twojej nie potrzebuję, każ osiodłać mi konia, wyjadę z domu, do tych lasów, do tych twoich widoków, proszę cię żeby to być mogło bez sprzeczania się.«

»*Comme vous voullez ma chère.*«

* * *

Było południe, ale smutne, jakto bywa w tych dniach krajowego klimatu, kiedy zapuszczona kortyna chmur i mgły nie podnosi się, chociaż słońce już na scenie widowisko dzienne zaczęło.

Państwo O* odbywali swoją konną przejażdzkę po lesie posuwając się w coraz dalszą stronę, w coraz dziksze okolice, drogą nasiekaną kamieńcem, tu wspinającą się w górę, tam znowu schodzącą wąwozem w padoły. Ponurość niepogodnego dnia udzieliła się lasowi, który stał cichy i pochmurny żaden; szmer nie ożywiał jego zielonej ciszy, żaden wietrzyk nie poruszał listków, z których nie strącona wiatrem, nie wysuszona słońcem sklniła się rosa; a przesuwała się sina popiołowa mgła.

Przez cały prawie przeciąg tej konnej przejażdzki pani O* milczała, była bowiem smutną, zranioną boleśnie, zmartwioną. Mówią, że umysł ludzki podobnie jak rola odłogiem zostawiona, pozbywa się chwastów i uprawia się.

Pan O* po kilkakrotnie pragnący zawiązać dyskurs, a zawsze bezskutecznie, zaniechał trudnego przedsięwzięcia rozmowy z milczącą.

»Pocož my tu jedziemy? zapytała nareszcie pani O* głosem tak pochmurnym jak było niebo dnia tego.

»Alež *ma chère* chciałem ci pokazać widok, jaki poszukać!«

»Což to za lasy?«

»To są moje, to jest, nasze lasy *ma chère.*«

»Jakieś duże! wiele masz mil lasu?«

»Jest 1700 morgów« odrzekł mąż.

»A naco to chowasz?«

»Naco? ale przecie mam dwie gorzelnie, ja myślę wystawić jeszcze trzecią; to się tak zdaje, gorzelnia dużo konsumuje drzewa.«

»Jakto? czy już i z drzewa palicie wódkę?«

»To nie, przecież wiesz że to z kartofli robi się wódka, i tylko do opału potrzeba szczepu.

»Czy las się sprzedaje także?«

»A przedaje, i właśnie co przedałem 100 jodeł do Dyamentowa xięciu.«

Na wspomnienie o Dyamentowie, o xięciu, obudziło się jakoby uspione nieszczęście. Pani O* wracając znowu do swojego smutku, uderzyła klaczkę spicrucikiem, ta skoczyła na przód i słaba nitka rozmowy przerwała się.

»Jakież ogromne drzewa, (po chwili zagadała pani) niewiedziałam, że dęby rosną tak wysoko!«

»*Ma chère* to są jodły, w tym miejscu, jak widzisz same młode drzewo.«

»Młode? poczem że to poznasz? ale czemuž nie

spieszysz się i nieprzedajesz, póki młode, jak się zestarzeją nikt i darmo nie weźmie; za 100 morgów wieleby zapłacili żydzi?«

»Mniej więcej daliby mi jakich 10,000 złr. m. k.«

»Co? taką wielką sumę? tego niewiedziałam; no proszę, ja teraz a ty narzekasz zawsze, że niemasz pieniędzy, i dla tego stawiasz ciągle i murujesz stajnie i stodoły, a niemożesz się zabrać do nowego dworu.«

»Ależbo *ma chère;* są jeszcze pilniejsze fabryki, a nasz dom chociaż jest drewniany, ale jak widzisz wygodny, i jak dla nas niemających familii, obszerny, aż nadto.«

»Co? co? aż nadto? a to mi się podoba, kiedy ja nie mam nawet osobnego pokoju do ubierania się, pokój bawialny jeden tylko, a i w tym niema już miejsca gdzie postawić kozeski. Już dawno cię proszę o to, abyś postawił nowy dom, murowany, o piętrze, z galerią i oranżerią do którejby się wychodziło z sali. W tym starym niemam żadnej a żadnej wygody, dobrze jeszcze żem nie zachorowała z takiej ciasnoty.«

»Ależ *ma chère...*«

Wtem wyjechali z lasu, i oczom jadących odsłoniła się dolinka, na niej kilka porozrzucanych chatek.

* * *

W wielu wioskach naszych, a mianowicie w wioskach położonych w górzystej, w lasy obfitej okolicy, nie rzadko znajdziesz śród puszczy cichą, odosobnioną, z późniejszych czasów kolonią chatek; filię wioski po za lasami leżącej; miejsce jakoby wygnania, do którego ubóstwo tulące się pod obcym dachem, samo ucieka, przysiedlenia się do jakiegobądź zagona i przytułku własnego szukając. Taka cicha, samotna odosobniona dolina, górami zamknięta, lasami opasana, wązką tylko ścieżką w lecie, a w zimie, śladem jednej stopy ludzkiej połączona ze wsią, zdawa się być oazą śród puszczy, wyspą oderwaną od świata, i chociaż zamieszkaną, przecież mało albo wcale nieznaną nawet temu, który hołd pańszczyzny z niej pobiera, i nieodwiedzaną chyba przez pachołka obnoszącego rozkaz, albo pogróżkę pańską, a niekiedy w smutnej godzinie, przez dobrego xiędza, który z słowem religijnej pociechy równie chętnie, dziś w próg pałacowy wstąpi, jutro pod strzechę niskiej wchodzi chaty; bo go prowadzi bóg, u którego wszyscy równi.

W takiej dolince mieszkający ludzie bywają ubodzy, bo ziemia której kilka zagonów wykorczowiska im przydzielono, jedyna ich żywicielka, zimna, uboga i kamienna, skąpem ziarnem płaci ciężką w niej pracę.

W takiej dolince stojące chaty bywają małe z krokwiowego drzewa złożone, cienką poszywką pokryte, która w kilku latach porasta gąbką mchu, a z pyrzu którym szczyt nałożony, zielonym kiściem się podnosi i buja napowietrzna trawka. Wstąpiwszy do środka takiej chatki znajdziesz się w ciemnej, ciasnej przestrzeni, która dla braku światła i świeżego powietrza zdawa się być wnętrzem pieczary podziemnej raczej, niżli budynku wystawionego na słońce południa, na wiatrowe przewiewy.

Jeżeli przez mały otwór okienka, przez te drobne, pożółkłe i okopcone dymem szybki przeciśnie się wązki i już brudny promień dnia do izdebki, dojrzysz w jednym rogu polepę z gliny, z której dym się sączący, rozwiesza po nad głowami mieszkających chmurę perłową; w drugim, krówkę przy swoim żłobku, wspólną w takich chatach z ludźmi mieszkanką i dzielącą zarówno z niemi głód i nędze.

Taka chata stoi zwykle samotno, bez towarzyszki swojej bez stodołki, gałęziami chojowemi osłonięta od zachodu, z kąd idą wiatry, śniegi się sypią; ma w swojem podworku dołek na gnicie mierżwy; pod okienkiem kilka pniaków i stos kory z obłupionego drzewa; z drugiej strony mały stawek w którym moczy się konopie, a nad nim nachylona gruszka leśna, co daje owoc twardy jak krzemień, cierpki jak życie ubogiego chłopka. Dalej nieco gdzie rozpoczyna się rola, wznosi się mogiła kamieni, pozbieranych z zagonów, pod nią okno źródłowe, z którego nitka wody się sączy.

Pod okienkiem południowej ściany spoczywa pies, ten człowieka każdego stanu i każdej doli towarzysz i sługa wierny, każdy krok obcy oszczekiwa głośno, gdzie indziej skarby, tu strzeże on ubóstwo; jest wartownikiem domu, który nie znęci złego człowieka, bo w nim znałazłby tylko, dzieci nagie.

Ale domowe ptastwo żadne nie ożywia cichego podworca, nie zagdacze tu kaczka, kogut nie zapieje, kura nie wodzi swoje piszczące dziateczki, bo las zły sąsiad, chowa liszkę, srogą ich nieprzyjaciółkę.

Z takich chatek, które nie mieszkaniem człowieczem, ale raczej ich przytułkiem tylko nazwać można, dwa lub trzy razy w tygodniu, przed wschodem słońca latem i zimą, wiosną i jesienią wychodzą jej gospodarze do swojego, o milę oddalonego dworu, na powinną robotę; raz w tygodniu do kościoła; niekiedy wywabi ich dzień targowy do miasteczka, albo zabiorą się za sprawunkami na jarmark, z którego w

późnej nocy spiewająco i zataczająco się wracają do domu.

Jeżeli zapragnie który tej puszczy mieszkaniec, kartoflanego trunku, nie będzie w potrzebie dalekiej odbywać drogi, bo wódka wiechę swoję w każdem zawiesza miejscu, i gdzie tylko kilka stoi chatek, w jednej stoi niezawodnie i kwaterka pańska, dla wygody poddanych, dla korzyści pana. *)

Z takiej chatki wyjdzie także w lecie małe dziewczę z koszykiem, z garnuszkami uzbieranych poziomek, i po odbytej dwumilowej drodze wraca rozweselone, i oddaje matce, za przedane we dworze jagody sześć krajcarków walutowych jedyny fundusz na sól tygodniową; ale niekiedy powraca z garnuszkiem swoim pełnym, i tem smutnem słowem do matki: Niechciała kupić pani.

* * *

»Ależ *ma chère*« temi słowy pan O* zaczął nieco żywszym tonem odpowiadać, popędzając konia, który go przybliżał do jednej z tych chatek w dolinie wyżej opisanych.

»Przestańże już mnie dręczyć z tem twojem, ależ *ma chère*, nie, żyć z takim mężem nieuczynnym, nieczułym, to jest nie do zniesienia, i teraz zamiast com miała się ubierać na obiad do xięstwa, on mnie wyprowadził w te puszcze niewiedzieć na co, i po co. A to straszna rzecz, jak sobie pomyślę, sprowadziłam umyślnie taki ładny ubiorek, za mantylkę *Michalsson* wziął odemnie trzynaście dukatów, o tem wszyscy już wiedzą, a jutro cała okolica będzie o tem gadać, żartować sobie, ubolewać nademną, a on, żeby mnie przynajmniej pocieszył, coś zrobił, choć w czem dogodził, nic, nic, ale to nic.«

»*Oh comme je suis melheurense.*«

Pani O* zalała się łzami, zapłakane oczy zakryła batystową srebrno-haftowaną uparfumowaną chusteczką, a wtenczas białonóżka Dianna, wierzchowa klaczka pani, stępując przodem potrąciła ładnym swoim łebkiem jakąś niewiastę, którą na wązkiej ścieżcę, naprzeciw niej idącą, napotkała.

Wydawszy krzyk przestrachu, niewiasta padła na znak na twardy krzemieniec ścieżki, jęk bolu wyszedł jej z piersi a klaczka spłoszona, odskoczyła na stronę.

*) W tej sprawie wódczanej odgrywamy rolę Anglików, fabrykujących i przedających opium przyjaciołom swoim Chińczykom. Kiedy wpływem towarzystwa wstrzemięźliwości w Prusiech i w krakowskiem, chłopi zaprzestają używać wódki, panowie nie myślą czy mają co jeść chłopi, kłopocą się nad tem, co teraz pić będą.

»Cóż to jest?« (zawołała zagniewana pani) »tu nawet z drogi nie ustępują kiedy ja jadę...«

Pan O* widząc leżącą kobietę, słysząc jej jęczenia przestraszył się takim wypadkiem, zatrzymał konia i wstecz go cofnął na kilka kroków.

Niedaleko od ścieżki na polu, była druga wieśniaczka; zaprzągnięta wraz z maleńkim chłopakiem, ciągnęła za sobą bronę, która zasiany zagon zawlekała, dla braku konia, pełniąc konia pracę. Patrząc na to co się stało, porzucając robotę, przybiegła do leżącej i dopomogła jej podnieść się z upadku.

»O mój Jezusie kochany! kumoszko gadajcież, nie stało się wam co złego?«

»A to wy Szczepanowa, bóg wam zapłać! (odrzekła tamta) nie dajcieże mnie bić, czy to mąż mię bije?«

»Na, widzi bóg nie bójcie się waszego, dyć on na pańskiem; a to nasz pan tu przyjechał, (dodała ciszej) z panią naszą, żeście niewidzieli, na koniach.«

»Nasza pani? tu u nas, żadna tu jeszcze nie była, a jak ona tać wygląda?«

Państwo O* z tej rozmowy wieśniaczek, której zdaleka się przysłuchiwali, przekonali się, że ta potrącona o ziemię niewiasta, której ubranie składało się z zgrzebnej koszuli i grubego rańtucha, a twarz jej wynędzniała i żółta, wyrażała nędzę i wielkie ubóstwo, była kaleką, ciemną.

»Ta kobieta jest ciemną? zagadał pan, zbliżając się na koniu.«

»Na, widzi bóg, że ciemna, mój jegomość kochany,« odrzekła wieśniaczka, dotykając ręką stopy pańskiej.

»Ale dla czegoż nie ustąpiła się z drogi, przecież słyszeć mogła stąpanie konia?«

»Na, widzi bóg, nie mogła mój jegomość kochany, bo ona dobrze nie dosłyszy, na żadne ucho!!«

»I głucha przytem? gdzie mieszka? w której chałupie?« pytał dalej pan.

»Na, widzi bóg, ona biedna teraz sierota, mój jegomość kochany i tak chodzi tylko po ludziach o żebranym chlebie, a w nocy, byle gdzie się przytuli biedaczka, na, widzi bóg, cóż ma robić!!«

»Czy niema ona nikogo z familii?«

»Widzi bóg nikogo, tylko męża i drobnych dziatek troje.«

»Co? ma męża? i czemuż niezostaje przy nim?«

»Na, widzi bóg, ta i przy nim była, z nim mieszkała; ale toli ociemniała teraz na obiedwie oczy, a to tak z dobrej woli się stało, to i mąż ją wygnał z chaty.«

»Co? wygnał?«

»Na, widzi bóg że wygnał, mój jegomość kochany, bo cóż mu teraz z niej, ani mu dzieci upilnuje, ani przystawi garczka do ognia, ledwieby ziemniaka oskrobać potrafiła, a tu bieda w chałupie; to widzi bóg, kazał jej iść sobie po żebranem, ta ona nieboga cóż miała robić, mój jegomość kochany, jeno jej tęskno teraz przez dzieci, i na to instyguje najbardziej.«

»A to straszna rzecz! jak mogą być ludzie na świecie, tak nie dobrzy, tak bez żadnej litości; muszę o tem powiedzieć sędziemu, żeby w to wejrzał.«

To pomyślał, to powiedział pan O* ale powróciwszy do domu zastawszy u siebie gościa sąsiada, który na niego czekał, przy pogadance o wojnie marokańskiej, o nowym sposobie zacierania i tem pojawionem na propinacie straszydle, o towarzystwie wstrzemięźliwości, zapomniał o biednej kalece, i o złym jej mężu.

Ale widok tej nędzy i tego ubóstwa, które swojego dachu nawet niema; powieść o ciemnej kalece wypędzonej przez męża z domu, od własnych dzieci, zrobiła mocne wrażenie na pani O* które, trwało półgodziny; a jej serce po małem tem zboczeniu do nieszczęścia ubogich, powróciło do swojej właściwej sfery, do umartwienia, które życie bogatych takiemi cierniami zasiewa i robi je tak ciężkiem do zniesienia.

A. G.

O sztuce dramatycznej.

Sztuka, ta córa niebios i pierwsza nauczycielka ludów, jak one w dzieciństwie na pozór lekka, rozmaita i ruchawa, a jak przyszłość w ich łonie zawarta głęboko, wielka i nieskończona, znikomą postacią uśmiecha się do ludzi i wabi ich ku sobie i naucza i wznosi i najgłębsze prawdy im objawia. Prawda, istota bóstwa i dzieł boskich, w religii, w świętych, tajemniczych a prostych słowach objawiona wierze, nadziei i miłości, w filozofii myślą badana, w sztuce odziewa się w lekką, powabną, zmysłową postać: igrając w ludzkie serca się wkrada. Słowo stało się ciałem, i myśl każda aby ożyła pełnem, rzeczywistem życiem, wydała owoc, musi się wcielić. Boskie nauki religii, zasady filozofii biorą życie zewnętrzne w człowieku i jego czynach; sztuka niezdolna objąć całej nieskończoności obszaru tamtych, tem się im równa, że już sama w sobie żyje pełnem, zewnętrznem, rzeczywistem życiem; myśl, ducha w całej jego głębi i nieskończoności w zmysłowe uosabia postacie, z ducha tego rozwija wolno i koniecznie, jak on sam wedle praw własnych wymaga, formę, byt dlań wewnętrzny, i urzeczywistnia, wciela, indiwidualizuje, w rozliczne farby uciera, w najżywszą, najrozmaitszą szatę ustraja. Celem sama sobie, wolny twór ducha, niezawisła, silny urok wywierająca, sztuka jest najwyższą potęgą, prawdziwem czarodziejstwem człowieka, w niej uzyskuje on wyłączny przywilej boga, twórczość, w niej wywołuje świat inny, czystszy, piękniejszy, jak ten co go otacza, wyzwała się z trosk i trudów codziennego życia; ideom swoim, postaciom, owej fantazii nadaje życie zewnętrzne, w niej godzi dwa światy wiecznie walczące z sobą: duchowy i materialny, i w jedną piękną, wolną, wielką całość je spaja.

Widzimy więc że sztuka prawdziwa z dwoch się składa pierwiastków, nieskończonego i ziemskiego, że w każdem dziele sztuki mamy rozróżnić ideę czyli cel, który sobie zakłada, i formę czyli środki, których do spełnienia go używa. Lecz gdzie ma być życie i piękność, musi być jedność zupełna, ztąd cel i środki, czyli myśl i forma nie są sobie obojętne; przeciwnie, forma winna być wolno a oraz koniecznie z myśli rozwinięta, tchnąć tą myślą, oprócz niej nic w sobie nie zawierać, i objawić, wyczerpać ją zupełnie; w każdym punkcie dzieła sztuki obie strony winny być zupełną jednością, nigdzie oddzielnie od siebie nie istnąć. Forma stanowi istotę i rozgraniczenie rodzajów sztuki, materiał który rodzaj pewien sztuki używa za formę, tak do tegoż istoty należy, iż wszelka jego działalność, przezeń ograniczona jest. Ważnem więc niezmiernie, rozstrzygającem we względzie sztuki, jest rozpoznanie środków, których pewien jej rodzaj używa, i celów, które te środki uskutecznić są w stanie. Ciężkie masy architektury, myśl niepewną, nieoznaczoną zgadywać każą; rzeźbiarstwo myśl tę w postać ludzką uosobia, uduchowia ją, idealizuje; piękną bo zupełną jedność wytwarza. Ale twardy jego materiał nie wyda najgłębszego wnętrza, nieskończoności ducha, nie obejmuje w całej rozmaitości życia i stosunków człowieka. Objawiać je zaczyna dopiero malarstwo, bo w miejsce ciężkiego materiału, światłem i farbą wytwarza pozór tylko niejako zmysłowej formy. Dźwięczny organ muzyki, jeszcze więcej jak farba zmysłowość odrzuca, z najgłębszego wnętrza ducha się wyrywa, lecz nie przedmiotując go, ciemnym odgłosem uczucia zostaje. Ta zaś sztuka która używa najduchowszego organu: słowa, ta temsamem najwięcej jest duchowa i bezwzględna, najgłębiej wnika w ducha, najdoskonalej go przedmiotuje; całą nieskończoność, najgłębsze prawdy, całą rozmaitość jego urzeczywistnień się obejmuje. W poezii

wszystkie poprzednie rodzaje sztuki w wyższą łączą się całość, duch sztuki osiąga szczyt doskonałości. Poezii zaś najdojrzalszym owocem, celem niejako całego poprzedniego rozwoju ducha sztuki, najwyższą jej doskonałością dramat. Wywija on się organicznie z epopei i liryki, i obydwa te rodzaje jako chwile rozwoju w sobie połącza. Najpotężniejszy, bezwzględny, nieskończony obszarem który obejmuje, dramat, głębokie prawdy, wielkie idee, przez organ wolnych indiwiduów objawia, i przez nie, świat cały charakterów w uczuciu, myśli i woli, na siebie działających, rozwijających się i ograniczających nawzajem, przed oczy nam stawia, a temsamem już swoją istotą wskazuje, gdzie szczyt jego potęgi, ostatnie urzeczywistnienie się; żąda przedstawienia artystowskiego na scenie, któremu wszystkie sztuki hołdują i haracz swój znoszą. Mówiliśmy iż duchowa strona sztuki najwyżej się wznosi w poezii, a szczególniej w dramacie, w przedstawieniu zaś na scenie uzyskuje ten ostatni zupełne uzmysłowienie, pełną, wolną, doskonałą rzeczywistość.

Sztuka teatralna duchowo uosobione postacie poezii dramatycznej w ciało i krew zmienia, tchnie im życie, którem uzmysłowia, uosabia nam je zupełnie. Fantastyczne utwory poezii, sztuka ta napawa krwią z podziemnego świata Homera, przezco jako zupełnych, rzeczywistych ludzi stawia nam je przed oczy, i przenosi nas w złudzenie, odsłaniając świat cały niby widoczny, zmysłowy, życia i działania, a będący owocem wolnej fantazii. Ta zamiana pięknego świata fantazii w rzeczywisty, czaruje nas, i z ucisku ostatniego wznosi w wolny i bezwarunkowy zakres pierwszego.

Ponieważ więc sztuka teatralna, twory wolnej fantazii w zmysłową rzeczywistość wcielając, najprzeciwniejsze ostateczności łączy, i dziełom dramatycznego poety nadaje zupełne złudzenie rzeczywistych wypadków, przeto wywiera wpływ tak ogromny, i do głębi ducha poruszający, jakiego żadna inna sztuka po sobie nie zostawia. Tu patrzący jakby w życiu przebywa najsilniejsze namiętności, cały zakres wszelkich, najbardziej porywających stosunków ludzkich, widzi je rozwijające się mu przed oczyma, jakby się zdarzały, a jednak czuje się wolnym od ucisku pospolitej rzeczywistości i codziennego życia.

Aby istotę i wielkość tej sztuki bliżej rozpoznać, zastanówmy się najpierwej nad materiałem, którego używa i przez który działa, bo tym sposobem właśnie, najlepiej jej istotę i potęgę rozpoznamy. Jak mówiliśmy materiałem poezii słowo. Używając tego organu najwięcej duchowego do objawów poetycznej fantazii, staje się najbezwzględniejszą, najdoskonalszą z sztuk; sceniczne zaś przedstawienia, urzeczywistniając najwyższy rodzaj poezii, całą osobistość człowieka materiałem jej czynią; i niem spełniają swoje zadania, jak malarstwo światłem i farbą, rzeźbiarstwo marmurem lub kruszcem, poezia bezpośrednim wpływem ducha: słowem.

Urzeczywistnieniem więc idei sztuki dramatycznej jej koniecznym materiałem jak malarzowi farba, indiwidualna osobistość człowieka. Ztąd widzimy, że i duchem i materią sztuka ta na sam szczyt się wznosi, lecz sama się zeń otrąca, kiedy swego przeznaczenia nie wypełnia, duchową swą stronę odrzuca, szlachetny materiał używa nie do dzieł sztuki, bo się tem poniża, i zaledwie słabe głowy i dzieci zająć może. Wtenczas przestaje być sztuką, nie wchodzi więc w zakres naszych uwag, do prawdziwej w późniejszym czasie znowu je zwrócimy. *c. d. n.*

USTĘP

Z TRAGEDII PONSARDA »LUKRECIA«

Mało dzieł dramatycznych tyle zrobiło wrażenia ile Lukrecia (rzymianka) tragedia Ponsarda, która, śmiało powiedzieć można, stała się epoką w Paryżu. Pominąwszy istotne jej zalety, ubóstwiana przez klasyków którzy w niej witali odrodzenie rasynowskich tragedij, potępiana przez romantyków przestraszonych nowym wrogiem silnym a zawziętym, musiała oczywiście robić *furore* w tej stolicy stronnictw i zapału. Wdzięczni więc jesteśmy p. Wincentemu Thullie znanemu z mnogich tłumaczeń i oryginalnych komedij, że nam ją przełożył na język polski wierszem gładkim, który wiernie oddaje niezaprzeczone piękności oryginału. Tragedia ta wktótce przedstawioną będzie przez artystów polskich na dochód pani Aszpergerowej, a tymczasem chcąc z nią obznajomić czytelników naszych przytaczamy ustęp z sceny pierwszej, aktu czwartego, w której Lukrecia rozpowiada sen swój....

. . . .

Wąż o me ciało wije swoje kłęby,
I wdarł się w piersi straszliwemi zęby.
Chcę cię wydrzeć! nadaremnie!
Już nie było życia we mnie;
I tak kilka chwil minęło.
Wąż zasyczał przeraźliwie,
Coraz zimniej; bardziej ciemno;
Niewiem co się stało zemną....
Zabójca uszedł; już się nie pojawił,
Lecz w mojej piersi ostry miecz zostawił...
W tem cud nowy!... W głuchej ciszy
Widzę mnóstwo towarzyszy....
Jam cała we krwi; lecz dusza zostaje;
A z każdej kropli wojownik powstaje....
Coraz liczniejsze ciągną się szeregi,
Więcej niż piasku mają morskie brzegi;
Zamiast toporów były ich znakami
Spiżowe włócznie z złotemi orłami,
Które szybują skrzydłami tak cudnie
Na wschód i zachód, północ i południe!...
Teraz ze snu obudzona
Tyle jestem utrudzona!
Zdaje mi się, że oto miecz wisi nademną.
I w koło zimno, grobowo i ciemno!...
O ja przeczuwam, gdy się cała trwożysz,
Ty mi snu tego pewnie nie wyłożysz!...

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.